

Rodzina chrześcijańska

Pisemko poświęcone sprawom religijnym, nauce i zabawie.

Wychodzi raz na tydzień w Niedzielę.

Bezplatny dodatek do „Górnoślązaka“ i „Straży nad Odrą“.

Na niedzielę XV po Zielonych Świątkach

Ewangelia u św. Łukasza,

w rozdziale VII.

Onego czasu: Szedł Jezus do miasta, które zowią Naim: a z nim szli Uczniowie Jego i rzesza wielka. A gdy się przybliżył ku bramie miejskiej, oto wynoszono umarłego syna jedynej matki Jego, a ta była wdowa: a rzesza miejska wielka z nią. Którą ujrawszy Pan, ulitował się nad nią i rzekł jej: Nie płacz! I przystąpił, i dotknął się mar. (A ci, co nieśli, stanęli). I rzekł: Młodzieńcze! tobie mówię, wstań. I usiadł on, który był umarły, i począł mówić. I dał go matce Jego. I zdjął wszystkich strach, i wielbili Boga, mówiąc: Ze Prorok wielki powstał między nami, a iż Bóg nawiedził lud swój.

Święty Augustyn,

biskup i nauczyciel Kościoła.

Aureliusz Augustyn urodził się roku 354 w Tagaście w Afryce. Ojciec jego Patrycyusz był poga-ninem, matka święta Monika. Od swojej matki otrzymał chrześcijańskie i sumienne wychowanie, lecz chrztu nie otrzymał. Według woli ojca swego przyłożył się z gorliwością do nauk i stał się nauczycielem wymowy. Mimo tego wpadł w życie rozpustne, nad czem matka Jego bardzo ubolewała. Nie przestała modlić się za niego, aż ją Pan Bóg wysłuchał. Augustyn hawił w Medyolanie i przy-chodził z ciekawości do Kościoła, aby słuchać sławnego kaznodzieję świętego Ambrożego. Czytał też Pismo św. i wzruszony postanowił przyjąć chrzest. Święty Ambroży ochrzcił go i odtąd poświęcił swe nauki i całe życie służbie Kościoła. Liczył 33 lat, gdy się nawrócił. Potem opuścił Włochy i powrócił do swej ojczyzny, gdzie w mieście Hippo objął urząd biskupa.

Augustyn umarł roku 430. Jest on jeden z największych doktorów lub nauczycieli Kościoła, który nieprzestannie bronił wiary świętej i pogromił licznych kacerzy.

Z kraju tysiąca jezior.

(Z podróży i przechadzek po Finlandyi.)

Skreślił Stanisław Belza.)

8.

(Ciąg dalszy.)

I Nisslot jest nie czem innem.

Rozpostarł się on wdzięcznie nad wodą, ale ściśle biorąc, bez przesady możnaby powiedzieć, że leży na wodzie. Gdzie się bo zwrócisz, masz wodę przed sobą, tu jako wydłużoną wąską rzekę, tam jako la-miącą się niemożliwymi liniami zatokę, ówdzie wreszcie jako staw, i jeśli pragniesz dokładnie to miasto obejrzeć, musisz mieć koniecznie to roz-porządzenia swego dwa środki lokomocyi: łódkę i wóz, gdyż jedno w zupełności tu nie wystarcza.

Wychodzisz z hotelu, gdzie zamówiłeś konie na Punka-Harju, z zamiarem przyjrzenia się ludziom i rzeczom, i zaledwie ujdiesz kilka staj, zniewolony jesteś zboczyć z prostej drogi, gdyż na przeszkodzie staje ci kanał. Wymijasz go, natrafiasz na jezioro, oddalasz się od niego i spotkasz się znów z zatoką. I tak dalej i tak ciągle, woda i ląd, ląd i woda, i to na przestrzeni stosunkowo nie wielkiej, bodaj czy nie mniejszej nawet, od Saskiej Kępy pod Warszawą.

Nisslot jest miasteczkiem fińskim, i pod tą nazwą mało jest nawet znanym w całym wnętrzu Fin-landyi. Jest to nazwa narzucona mu przez Szwedów, Finnowie jednak nazywają go: Sawonlinna. Dzięki temu, że Finlandyę zaludniają dwa szczepy: szwedzki i fiński, które długi czas wyłączały się wzajemnie, zanim dopiero w ostatnich latach zeszły się na polu wspólnej pracy, nie tylko Nisslot posiada dwie nazwy, wszystkie niemal znaczniejsze miasta i osady w tym kraju, ochrzczone są w dwójaki sposób.

Dla osobliwości, bo z osobliwością podobną nie wszędzie się spotykamy, przytoczymy parę przy-kładów.

I tak: Helsingfors, Finnowie nazywają Helsinki, Wyborg, — Wiipuri, Willmanstrand, — Lappeen-ranta, historyczne Borga, — Porwo, Björneborg, — Pori, a Abo, — Turku. A choć Europa cała zna tylko nazwy pierwsze, jako nadane im przez Szwedów i językowo jej bliższe, przecież w Finlandyi, zwłaszcza też w fińskim jej wnętrzu, nazwy drugie są w wyłącznym u ludu użyciu. Co więcej, szwedzkie nie są nawet ludowi temu znane, o czem nie wiedząc, a mając zamiar jechać do St. Michael, napróżno ten wyraz powtarzałem kilkakrotnie dobro-

dusznemu właścicielowi jednokonnej karyoli w Nisslot, póki nie dowiedziałem się ze słownika, że miasto to w języku ojczystym tego człowieka, nazywa się Mikkeli.

Nisslot jest stolicą Sawolaksu, jednej z najciekawszych, najoświecenijszych, i najpiękniejszych prowincji fińskich.

Savon, albo Savonmaa, zwac się po fińsku, prowincja ta kształtem swym gruszkę przypomina, a rozciąga się na przestrzeni 300 kilometrów wzdłuż, i 180 szerz. Jest ona ciekawą z tego względu, że w jej granicach pomieszanie dwóch żywiołów doszło do takiego stopnia, iż rzeczywiście dokładnie nie wiadomo, do czego ona właściwie należy, do wody czy do lądu.

Będąc odepchniętą na wschód i zatopioną mnóstwem jezior, prowincja ta dłużej od każdej innej cieszyła się niezależnością, dłużej od innych opierała się Szwedom. Charakter też zamieszkującego ją ludu, odznacza się większą godnością, a jego pewność siebie weszła nawet w przysłowie. Odważny i przedsiębiorczy, jest lud ten jednocześnie oświeconym i zamożnym, i w barakowej chacie niejednego z tutejszych włóścian spotkać się można z takim nawet zbytkiem, jakiego darmo byś szukał po naszych nadwiślańskich dworach szlacheckich.

Położony na granicy dwóch północnych potencji — Sawolaks od najdawniejszych czasów był dla nich jabłkiem niezgody. To też Szwecja wcześniej o zabezpieczeniu go myślała. I gdy w roku 1475, za sprawą Eryka Totta w stolicy tej prowincji w Nisslot, dźwignęła obronny zamek, zdawało jej się, że o kamienne jego mury wiecznie rozbijać się będą usiłowania, mające na celu oderwanie od niej tych stron. Myślała błędnie, skamieniałe mury pozostały, są bodaj nawet dziś twardszymi od tych, jakie przed wiekami tu wznosiła, a tymczasem ani Sawolaks, ani Nisslot, nie uznają dziś jej już za swoją panią.

Potok politycznej konieczności, zmiotł jak pył z drogi przeszkodę, uważaną za niezwalczoną, i płynnie ciągle urągając dawnym mężom stanu wyrachowaniom, pewnością swoją, przypominającym trwałość dziecinnych domków z kart.

Podróżny w Nisslot nie zatrzymuje się długo. Na zobaczenie miasta i zamku przy pośpiechu wystarczy godzina, czas, jaki statek idący dalej na północ przystaje w tej miejscowości, kto jednak chce zobaczyć Punka-Harju, ten musi pozostać tu dłużej, i oczekiwać jeśli dalej jeziorem jechać pragnie, nadejścia następnej okazji. Tak ja czynię, postanowiwszy dla rozejrzenia się po okolicy, zabawić tu dwa dni.

Bawiąc w Nisslot, robię obserwację, że gdy w Wyborgu i na całym morskiem wybrzeżu bez znajomości języka fińskiego, obejść się doskonale można, każdy bowiem niemal z ludzi średniego stanu, nie tylko że rozumie tam główne języki europejskie, ale nawet mówi niektórymi z nich znośnie, tu koniecznie władać trzeba przynajmniej jaką taką fińszczyzną, inaczej bowiem można się znaleźć w wielkim kłopotcie.

Z dwóch dróg na Punka-Harju, wodnej i lądowej, wybrałem drugą, pragnąłem bowiem nie z łupiny, że się tak wyrażę, ale z jądra, poznać prowadzący do tej miejscowości kraj. Wybrawszy tę drogę, postanowiłem starać się o konie, i tu właśnie spotkałem się z językową trudnością oko w oko. Właścicielka mego hotelu, gdym jej po angielsku serce roztworzył, wskazywała mi ciągle na wodę, dając tem do zrozumienia, jak się dowiedziałem o tem później, że tą drogą najprędzej się na Punka-Harju

można dostać, i musiałem aż z rozpaczy chwycić za ołówek i papier i narysować na nim karykaturę głowy konia, aby mnie nareszcie zrozumiała, i z wzbuchami śmiechu sprowadziła to, czego chciałem.

Finlandya dokąd jest krajem mało w Europie znanym, dwie miejscowości jej przecież cieszą się szerokim rozgłosem.

Miejscowościami temi, są Imatra i Punka-Harju.

Przed wykopaniem kanału sajsmańskiego i połączeniem linią kolei, Wyborga i Helsingforsu z Sajmą, obie te miejscowości zachwycaly już liczne koła ciekawych na... obrazkach, dziś dzięki ułatwionym środkom komunikacyjnym, zachwycają ich w naturze.

Zaciekawieniu też temu zawdzięczamy, że wita nas w każdej z nich ten komfort, bez którego podróżnik europejski obejść się nigdzie nie może. I przy Imatrze i na Punka-Harju znajdziesz hotele porządne i wygodne; i tu i tam nie doświadczasz prywatności żadnych; i tu i tam czujesz, że jesteś w cywilizowanym świecie, choć masz przed oczyma dzikie obrazy, jakimi świat ten gdzieś tam tylko widza darzy.

Istotnie dzikie. O Imatrze pisaliśmy szeroko, czas wielki udać się na Punka-Harju, by grozę, jaką tam mieliśmy, uzupełnić widokiem czegoś, choć wcale nie groźnego, przecież stwarzającego w duszy naszej wrażenie, takiego jak wołec grozy osłupienia.

Punka-Harju jest wyspą, ale pewno nigdzie żadna wyspa kształtów podobnych nie przedstawia. Kształt to wydłużonej wąskiej linii, z boków której odcinają się szersze kępy. I linia ta i te kępy, rzucane są na tło otwartej wody i z lotu ptaka lub na mapie, obraz dają szybującego w powietrzu ptaka. Coś podobnego spotyka się w Wyborgu, tylko że ziemna figura sąsiadującej z tem miastem okolicy jest bez porównania szerszą, i o sto procent mniej malowniczą. Ocenimy to gdy się tam znajdziemy, a tymczasem wsiadajmy na dwukonną karyolę, i jedźmy.

Karyola fińska jest wehikułem, z jakim się każdy zapoznać dokładnie musi, kto załazszy się w tym kraju, chce uważnie mu się przyjrzeć. Jest to coś w rodzaju naszej bidki, tylko że ta ostatnia przypomina ją nieco nie w tem, co ma dobrego, tylko w niewygodnym i brzydkim. Dwa koła jak u nas, ale resory wygodne są, ale siedzenie jak na szlacheckiej bryczce. Złe mówię siedzenie, na karyoli są bowiem dwa siedzenia, i gdy usadowisz się na jednym z nich, masz przed sobą lub poza sobą małego chłopca, który w drodze konia dogląda, po podróży odprowadza go do domu.

Bawiąc szereg lat temu w Norwegii, w karyoli takiej przeryaliśmy długie górskie przestrzenie, przypominała nam ona znowu ten tak odmienny od Finlandyi kraj, a wraz z tym krajem, przed oczyma duszy przesunęła, ach, ileż wspomnień, na myśl, o których boleść serce przejmuję...

Czemuż to czemuż, najobojętniejszy nieraz przedmiot, z pod lat, cierpienia i zawodów człowieka, w przyszłości jego nieproszony odgrzebuje gorzyc wchłoniętego niegdyś w duszę piołunu?

Jest doprawdy na co tu patrzeć.

Hotel, w którym noc spędziliśmy: „Kestikiveri” co znaczy: „Zajazd pocztowy”, leży jak wszystko w tem mieście niedaleko jeziora; jedziemy więc zrazu niedługo lądem, poczem usadowieni na karyoli, promem przepławiamy się na drugą stronę wody, i od towarzyszącego nam wyrostka dowiadujemy się z trudnością, że trzy godziny czasu oddzielają nas od następnej przeprawy. Możemy więc dowoli rozkoszować się naturą Sawolaksu, czynić w przelocie

spostrzeżenia, głębszego interesu nie pozbawione, wzbogacać skarbnicę wrażeń odczutyh w życiu, jednem z najoryginalniejszych i najśodszych.

Na papier wrażenia te przełać doprawdy niełatwo. Odbijają się one silnie w duszy, ale i przylegają tak silnie do niej, iż oderwać ich dla udzielenia innym niepodobna. Trzeba tu być, myśleć i czuć, trzeba złąć się w jedną całość z tym dzikim światem, który się przerzyna w milczeniu, wchłonać go w siebie i wzajemnie się w nim rozplynać. Ale kiedy się z nim rozplynać. Ale kiedy się z niego wydistanie, opowiadać o nim trudno. Cemu tak? Bo będąc odrębnym od innych oglądanych już przez nas światów, nie posiada on konturów zarysowujących się w nas tak silnie, jak na przykład świat niebotycznych, bo piękno jego spoczywa nie w grozie lub majestacie, ale w poezji, jaka się nad nim w atmosferze unosi.

Otóż gdy majestat i groza natury, w słownem w prozie, czy obrazowem na płótnie odtworzeniu, przedstawić się jako tako dają, poezja wlewająca w nią żywą duszę, nie, — i dlatego, wiecznie blademi pozostaną opisy i widoki wszystkich Holmbergów, Biudholmów i Munsterhielmów, którzy rozkochani w przyrodzie ojczyzny swojej, z bezsprzecznym talentem pokusili się o jej reprodukcję.

Dali światu ciało ponętne, niekiedy nawet wspañale, nie uwięzili przecież w tworach swych tego, co dlań temu czar nadziemski udziela. I jedna już tylko poezja byłaby w stanie cudu tego dokonać, ale w tym małoludnym, dzikim Sawolaksie, czas na nią jeszcze nie przyszedł.

Drzemie tu ona zaklęta w każdej skale przydrożnej, w zagajniku każdym, nad brzegami każdego trzęsawiska, nie przetopila się przecież jeszcze w żywe słowo. I kto tu wypadkiem się znajdzie, zarywa zawsze coś z niej i zabiera w inny świat z sobą, ale kiedyś dopiero, kiedyś, złoży się z tych uniesionych stał jej okruszyn żywa całość, godna w wiązanej mowie odtwarzać rzeczywistość.

Kto z tych, którzy przebiegnęli w życiu te stroiny, nie pragnie, by czas ten jak najprędzej nastąpił?

Jak w ogóle cały Suwolaks, tak i ta okolica z Nisslotu do Punka-Harju, jest małoludna i dzika. Jest to jedna, długa, leśna puszcza.

Na przestrzeni trzygodzinnej drogi spotyka się gdzieniegdzie tylko grupy chat, przysiadłe do siebie i co w rodzaju wsi składające.

Chaty te, jak wszystkie w całym tym kraju drewniane i drzewem kryte, na oko przedstawiają się dość ubogo, choć wewnątrz posiadają komnaty wygodne, i urządzone nawet z pewnym komfortem. Od mieszkańców północnych części Finlandyi, chłop Sawolaksu tem się wyróżnia, że w domu swoim musi mieć wygodę, jakie cywilizacya z sobą przynosi. Zrósł się on z niemi i żyć bez nich nie może.

W chatach, jakie w drodze na Punka-Harju przesuwały nam się przed oczyma, mieszka ludność przeważnie z rybołówstwa, myślistwa, hodowli bydła i handlu drzewem utrzymująca się, rolnictwo przecież uprawia ona tylko gdzieniegdzie, warunki bowiem gleby, kulturę rolną na drugi plan tu sprowadzają.

Co uderza, gdy się kulturze tej tam, gdzie ona jest, przygląda?

Oto, że każde najinniejsze pole odgrodzone jest od sąsiedniego drewnianym płotem. Drzewa tu dosyć, więc się go na płot nie żałuje, a ziemi urodzajnej mało, więc się ją znowu szczelnie dla siebie

zamyka, by ktoś obcy po jej skarby łakomie rąk nie wyciągał.

Skarby!... ięczmień karłowaty i rzadki, chore łany naszego żyta na piasku przypominający, i kartofel ze spaloną popielatą łodygą, która zaledwie unosi się nad ziemią... Jakież to wszystko bogactwem jednak dla mieszkańców tych stron być musi, skoro się tego z uderzającą troskliwością, niby oka w głowie strzeże?

Ale oto dojechaliśmy już do krańca lądowej drogi. O piątej rano wyruszyliśmy z naszego hotelu, jest teraz ósma, i jesteśmy u progów Punka Harju. Karyola staje, koń znużony ciągnie powoli szczypać trawę w lesie, a mój woźnica młody klaszcza w ręce, by sprowadzić przewoźnika na drugą stronę wody. Hałas osiąga pożądaný skutek, z ubogiej chaty wychodzi dwóch starych Finnów, ściągają odemnie 10 pennia, i za chwilę odbijamy od brzegu.

Przeprowiam się na drugą stronę jeziora w łodzi i doprawdy nie wiem, czemu się mam uważniej przyglądać: naturze, czy ludziom.

Natura, na tym przesmyku wodnym, będącym progiem Punka-Harju, z rozrzutnością nieopatrznego marnotrawcy rozpościera dokoło swoje skarby i z zadrzewionych wysp porzuconych beładnie na wodzie tworzy krajobrazy wspaniałe. A że do rozporządzenia swego ma tu ona niewiele: wodę i drzewo, przeto widzi się wyraźnie, z jaką czarodziejką ma się w tem miejscu do czynienia, i jakie to potężne efekta słabemi nawet środkami wywoływać się niekiedy dają.

Prawda, że ziemi przychodzi w tem z pomocą niebo, że zalewające łądy i wody, jasne promienie słońca, wszystko zabarwiają po swojemu, wszystkiego wdzięk podnoszą, ale prawda i to, że gdyby nie dziwna konfiguracya potarganego jak koronka terenu, składowe jego części nie byłyby w możności złożyć takiej jak tu, jedynej w swoim rodzaju, całości. Tylko w Finlandyi (powtórzmy to poraz już nie wiemy który) coś podobnego daje się widzieć, tylko bo w Finlandyi, dwa najważniejsze świata żywioły żyją jeszcze dotąd w rozprzężeniu i rozterce, i nieokielznane silną wolą, biegną ku sobie i wzajemnie się od siebie odpychają.

Ale i ludzie ciekawi.

Mam ich tu w osobach dwóch przewoźników, i często zatrzymuję na nich wzrok. Są to typowe okazy Finnów, nieco odmienne od tych, jakim się gdzieindziej napatrzyłem.

Nizkiego wzrostu, muskularni i barczyści, są oni istotniei dziećmi lasu i wody. Nad ich kolebką, szumiały liście i iglice drzew poruszanych zimnym wiatrem północy, życie ich spłonęło w palących trzęsawisk gąszczach boru, zdala od miast i wielkoświatowego ruchu, a ich chleb codzienny, to ruch wiosłem od wschodu do zachodu słońca na wodzie.

Niech nikt nie sądzi, by zajęcie to było łatwem i od niebezpieczeństwa wolnem. Sajma jest spokojna w dnie ciszy, ale dni takich stosunkowo w Finlandyi niewiele. Gdy wiatr północno-wschodni zawieje, burzy się ona i bałwani niby morze, i wtedy trzeba wielkiej przytomności i trudu, by oprzeć się rozhukany jej falom.

Ta ciągła walka z żywiołem niesfornym, przy uwadze na to, że do walki z nim ludzie tu są zaopatrzeni w nader niedostateczne narzędzia, (obserwuję to przyglądając się drobnym moich przewoźników łodziom, i kruchym ich wiosłom), sprawia, że wyrobiły się w nich przymioty, napotymane jedynie u pracowników morza. Więc odwaga granicząca z zuchwalstwem, więc siła woli i zimna krew.

Nie mogąc z nimi rozmawiać, patrzę na nich uważnie, i przymioty te znajduję wyryte na ich twarzach. Nie ich tylko są one cechą, każdy Karelczyk zamieszkujący Sawolaks jest tych przymiotów żywym uosobieniem, i typy takie, z jakimi odbywam tę drogę, są ogólnym typem całej prowincyi.

Ogólnym i znanym po za jej granicami, dzięki chociażby obrazom Edelfelda, które Dujardin w Paryżu w pięknych heliografiach rozpowszechnił po świecie. W chwili, kiedy te wspomnienia spisuję, mam właśnie jeden taki obraz przed sobą i spoglądając na dwie znajdujące się na nim w łódce postacie, mężczyzny i kobiety, gnanych wiatrem po wodzie rozszalałej, w pełnych energii i nieustraszonej odwagi ich twarzach, upatruję wielkie podobieństwo do twarzy ludzi, dzięki którym perłę Sawolaksu widziałem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Przechadzka po polach.

Kilka uwag

o głównych wadach w gospodarstwach włościańskich
napisał Jerzy Turnau.

(Dokończenie).

Gnojarnia musi być założona na miejscu zupełnie równym, i otoczyć ją należy wałem z gliniastej ziemi, który ma chronić przed napływem obcej wody. Na wale tym należy zasadzić szybko rosnące drzewa, których cień ma chronić gnój przed zbytniem wysychaniem. Spód gnojarni winien być nieprzepuszczalny — a więc gliniasty. Jeżeli więc z natury taki nie jest, w takim razie należy ziemię przepuszczalną wybrać, na to miejsce zaś nawieźć jałowej gliny, ubijając ją silnie, jak tok na stodole.

Gnojarnia ma mieć kształt głębokiego talerza, w którego najgłębszym miejscu wykopuje się studzienkę na gnojówkę 1—1½ m. głęboką, ocembrowaną sośniną, nakrytą wiekiem z desek, szczelnie do siebie przystających. Gnój należy codziennie równo rozciągać na całej gnojarni, silnie udeптаć lub tratować końmi, a w suchej porze codziennie polewać gnojówką i codziennie posypywać bodaj cienką warstwą ziemi. Jeżeli gospodarz posiada, lub może gdzieś w pobliżu nabyć torf, to ten szczególnie nadaje się do posypywania nim obornika na gnojarni — a gnój zmieszany z torfem ma znacznie wyższą wartość nawozową. Włościanie wiedzą o tem, że przekładanie nawozu ziemią, doskonale go konserwuje, — lecz nie czynią tego, tłumacząc się, że nie mają skąd brać tej ziemi. Ale ile to nieraz widzimy niepotrzebnych pagórków na dziedzińcu, przed chałupami, które przez kilka lat zbierając po trosze, i uzyskaną ziemią posypując obornik, miałyby się i gnój, a co za tem idzie i urodzaj lepszy, a dzieciaki nie zbijałyby sobie nosów, potykając się na nierównym, pagórkowatym podwórzu. Zresztą można przekładać gnój błotem z gościńca, które drożnicy kilka razy do roku zgartują na kupki, na brzeg gościńca.

Obornik, starannie na gnojarni przechowany wybornie sprawi nam glebę, ale tylko wtedy, jeżeli przy wywożeniu go w pole nie popełnimy błędów. Niestety jednak i pod tym względem włościanie często błędzą! Gnój wywożony bywa w pole, złożony w kupki, dymiące i zatrujące powietrze,

i w tych kupkach nieraz leży i kilka tygodni. Deszcze wypłukują nawóz w kupkach tak, że gdy przyjdzie do rozrzucania, to to, co się rozrzuca, nie jest niczem innem, jak zbutwiała, wilgotną słomą, zaś cały sok, bogaty w pożywienie roślinne, wsiąknął w rolę na tej tylko przestrzeni, którą zajmowała kupka. W kilka miesięcy potem, podczas rozwijania się zboża, całe pole jest ciemno-zielone, aż niebieskie plące — i tam zboże wylega, nie wydając ziarna — zaś reszta pola pokryta jest żółtawymi, chudymi roślinami, które muszą żyć tylko z tej wylugowanej przez deszcze słomy. Co do natychmiastowego rozrzucania obornika, to nie można u nas gospodarstw dworskich jako przykładu postawić; i tam niekiedy czernieją długo na polu nierozrzucone kupki. W większych gospodarstwach dzieje się to zwykle wskutek braku robotnika, szczególnie w jesieni, gdy tyle rak potrzeba do kopania ziemniaków i buraków. Ale w gospodarstwach włościańskich, gdzie gospodarz sam i jego rodzina w kilku godzinach mogą tę robotę wykonać — pozostawianie gnoju w kupkach jest nie do darowania. Więcej, daleko więcej stracisz na tem, jeżeli nawóz przez jedną noc w kupkach przez ulewny deszcz wypłukany zostanie — aniżeli gdyby ci zboże na pomieci trzy dni mokło. Zboże przewrócisz, przesuszysz i jednak chleb z niego mieć będziesz; ale ziemi nie wolno bezkarnie oszukiwać, i zamiast jednostajnym nawozem — wylugowaną słomą nawozić, a jedno pozostawienie gnoju w kupkach na obfitym deszczu mści się potem przez kilka lat.

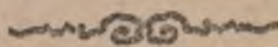
Po rozrzuceniu nawozu na roli już żadnych większych strat co do wartości tegoż ponieść nie możemy — chyba, że pole jest bardzo pochyłe — a w takim razie należy obornik zaraz przyorać, aby spadająca po pochyłości woda deszczowa nie wypłukała z gnoju najcenniejszych jego składników, niosąc je na dół, do rowu, lub na sąsiednie pole.

Dużo by jeszcze można wskazać błędów, które włościanie popełniają przy uprawie zbóż i okopowizn. Nie chcąc jednak nadużyć cierpliwości czytelników, wspomniamy tylko o uprawie ziemniaków, tej najważniejszej rośliny, gdyż jest ona głównym pożywieniem naszej ludności.

Włościanie przy uprawie ziemniaków popełniają niemal powszechnie ten błąd, że sadzą je gęsto, i ślepi są na przykład gospodarstw dworskich, które od gęstego sadzenia ziemniaków coraz więcej odstępują. Dlaczego? Przecież widzą, że na polach dworskich pod jednym krzakiem bywa 15—20 a w urodzajnych latach i odpowiedniej uprawie i 30 dorodnych ziemniaków — zaś u nich, przy gęstym sadzeniu znajdziesz pod krzakiem co najwyżej 10—12 i to do tego drobnutkich, mizernych kulek. Dlaczego? Oto pochodzi to z bezrozumnej oszczędności. Włościanie nie sadzą nigdy ziemniaków — lecz kawałki ziemniaków, a bardzo często same tylko „oka“. O ile krajanie ziemniaków do sadzenia na pół nie wpływa jeszcze ujemnie na plon, o tyle dalsze dzielenie prowadzi do coraz większego obniżenia tegoż. Ten i ów gospodarz może próbował sadzić ziemniaki w dalszych odstępach, „po dworsku“, ale znowu nie posadził ziemniaków, tylko może jakąś czwartą część ziemniaka, poczem wydatek plonu był jeszcze gorszy, aniżeli przy gęstym sadzeniu — powrócił więc do starego sposobu. Kto zjada ziemniaki przeznaczane do sadzenia, a wysadza tylko „oka“, ten taką samą szkodę sobie robi, jak ten, który dobrą krowę cielną doł aż do samego ocielenia. Potem i krowa nie ma mleka, a cielę rodzi się chude, słabe i często po

kilku dniach zdycha. Zamiast sadzić «oka» z ziemniaków w odległościach $\frac{1}{2}$ stopy wzdłuż a jedną stopę wszersz, posadź bracie ziemninki — ale całe, lub conajwyżej przez pół (wzdłuż) przekrajane, w odległościach 1 stopę wzdłuż a dwie stopy wszersz. Na tem nic a nic nie stracisz — bo wyjdzie ci ta sama ilość ziemniaków do sadzenia — a bądź przekonany, że plon będziesz miał daleko wyższy. Odstępy, w jakich mają być sadzone ziemniaki, stosują się do jakości i siły nawozowej gleby i nie da się tu postawić ścisła reguła; pouczyć nas o tem mogą tylko próby. Powtarzamy jednak z niciskiem, że sadzenie kawałeczków z ziemniaków tak gęsto, jak to dotychczas przeważnie czynią włościanie, jest stanowczo wadliwie. W glebach bogatszych i dobrze nawożonych zalecić można sadzenie w t. zw. «kupki». W tym celu po zabronieniu, znaczy się pole znacznikiem (drewnianym), którego zęby odległe są od siebie o 46—56 cm. (stosownie do urodzajności gleby) w kratkę, tj. wzdłuż i poprzek; w miejscach, gdzie się znaki krzyżują, robi się kopaczką dołek 8—10 cm. głęboki, wrzuca weń ziemniak, przykrywa ziemią i zdeptuje nogą. W ten sposób posadzone ziemniaki o wiele łatwiej jest opielać i odkopywać i bardzo łatwo wykopywać w jesieni. Wystarczy bowiem jednokrotne opielenie ręczną motyką, następnie można już tylko konnym plewnikiem spulchniać i podsyptywać a wreszcie znowu motyką w około każdy krzak podgarnąć. Przy kopaniu ziemniaków posadzonych w «kubki» oszczędza się wiele roboty, kopanie idzie wtedy łatwo i szybko, gdyż po wyrwaniu badyła wraz z częścią ziemniaków rozkopyje się jednym uderzeniem motyki całą kupkę i wydobywa ziemniaki — i nie potrzeba szukać i grzebać na oślep, kalecząc ziemniaki, jak to się dzieje przy zwykłym sadzeniu ziemniaków pod pług.

Na tem kończymy szereg uwag, które nam się nasunęły wśród przechadzki po polach i zagrodach włościańskich.



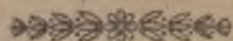
W górach.

Po jasnych, złotych łakach hal,
Chodzą nieznane dźwięki,
A w nich drży śmiech, tęsknota, żal,
Westchnienia cisze jęki.

A czasem gdzieś zblakany dzwon
Z pasących trzód się stada,
W ciszę srebrzysty rzuca ton
I w echo z rosą pada.

A wyżej, kędy szczyty gór
Potężne, wielkie, dumne,
Tam po nad niemi ptaków sznur
Uderza w skrzydła szumne.

Wiatr chodzi, gór i pustyń król
I cisza gór królowa,
Tam, niosą echa z łąk i z pól
Zblakanych piosnek słowa.



Bóg się rodzi.

Bardzo dawno, przed wieki, kiedy borów nie burzył jeszcze wichur, gdyż w zwartą gładzą wędrzeć się nie zdołał a jego gromy ryczały nad pomostem drzew, na piaskach, wyrugowanych przez okresy burzliwych mór, porosły lasy, rozmnożyła się zwierzyna, w mieliznach wykrzyła wszelaka ryba, z dalekiej ojczyzny, przybyłe plemie ludzi znalazło w takiej ziemi dla siebie schronienie.

Wschód słońca, ozłacał ponure siedziby i budził mieszkańców puszcz do pracy nad uganianiem się za zwierzyną lub połowem ryb, które przedewszystkiem wraz z grzybami i miodem leśnym stanowiły ich pożywienie.

O ile wschód słońca budził życie, to znowu zachody słońca — mrok nieprzebytych borów, opary błot, wichry jesieni, głucha cisza, sprowadzały na mieszkańców pewien rodzaj bezbrzeżnej zadumy, i tęsknoty do dalekiej ojczyzny. To też z pokolenia na pokolenie urobiła się dusza ich tęskna i rzewna jak te nie przebyte lasy i równiny, co budziły świty, zamraczały wieczory, a pełne niewygód samotne życie urobiło ich serca do marzeń, wybujałych tajemniczych jak mrok, fantastycznych jak mgła powstająca z szerokich rzek i strumieni, a unosząca się nad wodami borów niby dusza tej krainy.

Spławniami rzekami zapuszczali się do nich kupcy plemion osiadłych nad rzekami Śródziemnego morza, później Grecy, i Rzymianie — uczyli wartości bursztynu i zbóż, a opowiadania ich o dziwach nieznanym krajom szły z osady do osady, jak echo wnikały w głębie nieprzebytych lasów, jak światło błysnęły po lustrzanych jej wodach.

Czasem jaka horda biegiem wodnego traktu, oderwana od swych siedzib, a żadna przygód i łupu, zawitała jak huragan, a nie znalazłszy żadnych bogactw, dażyła hen, ku zachodowi, do miast ludnych podsycających żądzę wędrownych łupieżców.

Ani związki dorywcze z napastnikami, ani ciągłe boje, nie zmieniły natury tego ludu, żył odbierając potężne wrażenie od przyrody, zaludniając bory, przekazując z pokolenia na pokolenie tradycje wyniesione z dawniejszej ojczyzny, lub śpiewał rytmiczne pieśni swoje.

Mędrcy i kapłani przez wieki wyłobili w nich pewne pojęcia swych bogów, nadali formy i lud w nich zaczął kosztować. Na pewne jednak dusze zaciągały mgły wątpliwości. Przyswojone opowiadania wędrowców wnikałszy w pierś ludu wywoływały wątpliwość duszne trwożone.

W tych zamierzchłych wiekach żył stary kneź, mędrzec tego plemienia. On to prowadził szeroki handel, rad — że kupcy wpływali na jego rzekę — że przywozili mu towar obcy, a szczególnie ostrze, żelazo, które chętnie nabywał za bursztyn, skóry rozlicznych zwierząt i miody pszczoł. Lud jego odtąd bronił się nie krzemienną strzałą, nie maczugą lub procą, nie kamieniem okrągłym, urobionym do szerokiej dłoni, lecz rzymskim grotem osadzonym na młodym dąbczaku, lub mieczem zasłoniętym w walce szeroką tarczą. Lud się rozrodził i lepiej było poskramiać najeźdźców, tem bardziej, że zbójckie hordy w wędrowkach na bogaty zachód zagładały tu coraz częściej. Stary kneź postawił gród — ze świątyni jego buchał dym ofiary składany bogom — w ścianach dębowych budowli czujni stali wartownicy — do koła gromadził się lud, a kneź wyprawiał łowy, zbierał zapasy skór, siedząc pod rozłożystym dębem słuchał grających guślarzy, oczekując następnej wio-

sny i kupców z krain zamorskich a odległych. Zapadał zmrok, kneź siedzi otoczony ludem i słucha śpiewów guślarzy, stare opiewających dzieje i dawne czasy... w pieśniach tych woń nowych myśli, nowych pragnień się rozplywa i wnika w dusze słuchaczy.

W tem wstaje jeden z guślarzy — którego nikt przedtem nie widział. — Zapatrzył się w przestrzeń. — Zaległa cisza... w takiej ciszy ukazuje się pierwszy blask słońca, w podobnej ciszy oczekuje puszca uderzenia gromu.

Dotknął strun i zabrzmiała nieznana w tej krainie pieśń — Bóg się rodzi, moc truchleje.

Zadziwieni wszyscy stają. Skąd ten guślarz, nikt go nie zna, co on mówi — co za pieśń śpiewa, wszyscy trwożeni, niespokojni, a kneź podchodzi i pyta głośno:

— Skąd ty jesteś, co to za pieśń?

— Patrzcie kneziu, gdzie wszystkie gwiazdy promieniami wystrzeliły. Tam na wschodzie jakby słońce miało wzejść... Na niebie wielka luna, a na tarczy niewiasta w gwiazdy uwita i dziecię — Bóg! I zwrócił wzrok ku jasnej stronie nieba.

Porwali się wszyscy, powstał ścisk, a błyski wschodu jak brylanty ogniami się palą. Stary guślarz śpiewa dalej pieśń cichą — nieskończoną...

— Wielki Kneziu, życie wasze bez jutra, w twojej głowie nieraz huczy od smutku... Śmierć powali wszystkich nas, dymy z mogił ulecą po nas, stosy pogasną... rozboje — zgłiszczą, mogiły i nędza przyjdzie na lud twój, starych bogów powali wróg, gaje święte najezdnik wyrąbie...!

Kneź sposepniał, drużyna pomarszczyła czoła, w powietrzu przeleciał niby zgrzyt stali o krzemień, a wzrok guślarza rozogniony a smętny spoczął na kneziu.

Kneź westchnął i rzekł: — Myślałem od lat wielu o wszystkim. — Pytałem się bogów... pytałem się gwiazd... pytałem rozbójnika płonącego na stosie ofiarnym — co w przyszłości będzie... milczeli. — Kiedy słucham łomów lasu wśród burzy, a myśli rozpetam — wzywam domowych bogów, bo niepokoje miotają mną jak liściem jesienne wichury... bogowie milczą.

Guślarz na to rzekł: — W tej pieśni znajdziesz rozwiązanie tej zagadki.

— Tak! — odpowie kneź — ale pieśń twoja, to pożegnanie tej ziemi, to opuszczenie rodzinnych siedzib. — Przy narodzeniu dziecię jeśli ją posłyszysz, to przez całe życie aż do mogiły będzie miało oczy wpatrzone w to jasne niebo... oręż wypadnie młodzieńcowi z dłoni... nie będą kneziowie budować zamków, a drudzy przyjdą i taki lud obrócą w niewolników... I teraz zrozumiałem te straszne czasy o jakich przed chwilą opowiadałeś... Więc na to twój Bóg się rodzi, aby mój lud różnił się jak stado owiec?

— Nie rozumiesz mnie, kneziu. To światło na wschodzie i ta pieśń jest dla wszystkich ludów i pokoleń — ogarnie świat cały od wschodu do zachodu słońca i da ukojenie. Przyjdzie czas, i ty ją zrozumiesz.

— Pieśń twoja jest dla nas zagadką, daj nam klucz do jej rozwiązania.

— Spoczywa on w sercu twoim i każdej jednostki twojego ludu.

— Zaklinam cię mów jasno:

— Kluczem do tej zagadki jest miłość i przebaczenie.

Nastąpiła długa cisza.

W duszę knezia i jego ludu weszła nieznana im dotąd błogość i uradowanie. W sercach ich rodził się Bóg!... Guślarz zniknął.

W opustoszałym i smutnym lesie...

W opustoszałym i smutnym lesie
Wicher o nagie konary trąca,
I w dal się dziwna melodia niesie
Nabrzmiła skargą, żalem łkająca...

Samotna brzoza, jak harfa biała,
Bolesną pieśnią się rozplakała...
Rozpuszcza włosy, ku ziemi gnie się
W opustoszałym i smutnym lesie...

W zimnego słońca szkarłatnej łunie
Kryształy szronu lśnią, jak rubiny...
Jak krew na leśnych mroków całunie
Błyszczą korale, grom jarzębiny...

Ogromna cisza schodzi na ziemię,
A w niej bezbrzeżna tęsknota drzemie...
Duch melancholii ścieżkami sunie
W zimnego słońca szkarłatnej łunie...

Samotnej gwiazdy drżące spojrzenie
Wślizga się cicho w ponure mroki,
I złotą smugą roztrąca cienie,
Dziwne dokoło siejąc uroki.

Gasną płomienne szronów korale...
Milkną powoli skargi i żale...
Ulga w tęsknocie i ukojenie
Niesie samotnej gwiazdy spojrzenie...

Nów srebrny lekko po niebie płynie,
Jak łódź mistyczna po wód lazurze!..
I coraz ciszej w leśnej gęstwinie,
I coraz ciszej nad lasem w górze!..

Noc idzie głucha na senną ziemię,
Zdejmuje z ramion trosk ludzkich brzemie...
Zasnęły siola w mrocznej równinie...
Nów srebrny lekko po niebie płynie.

Róża i słowik.

Baśń perska.

Zestarzał się już bardzo Biały Lotus, król kwiatów... gnuśność co raz większa go opanowywała, rzadko kiedy wydawał rozkazy i sprawował sądy, — pochylał tylko smętnie białą, dużą głowę i pograżał w rozpamiętywaniu dawno minionych czasów swych rządów, pełnych chwały i znakomitych czynów. ...I tak zagłębiał się w wspomnieniach coraz bardziej i bardziej, zapominając o wszystkim co go otaczało...

Sprzyskrzyło się wreszcie kwiatom zaniedbanie białego Lotusa, coraz to pochylały się ku sobie, szepcząc i wiodąc narady tajemnicze, aż wreszcie poczęły szemrać głośniejsze i w końcu podniosły bunt otwarty...

...I wzniosły się z ziemi ku Allahowi głosy błagalne kwiatów.

— ...O Allahu... zmiłuj się nad nami... Biały Lotus zestarzał się już bardzo i rządy jego nie mają już nad nami dawnej siły... Cierpimy na tem srodze, waśń i niezgoda wkradły się między nas... Więc zmiłuj się, o Allahu... zeszlj nam króla, któryby mądrze zarządził nami miasto Białego Lotusa, bo inaczej grozi nam zagłada.

Wysłuchał tych błagalnych wołań kwiatów miłosierny Allah i zmiłował się nad niemi... Zabłysła w jego oku łza przeczysta, łza żalu nad niedolą kwiatów; obtarł ją spiesźnie palcem i strząsnął na ziemię...

I padła na ziemię łza Allaha, i na miejscu gdzie spoczęła, wystrzelił do góry wspaniały krzew, uwieczony pękiem przepięknych białych kwiatów, rozciągających w około woń cudowną... Celem zaś zaznaczenia jego wyższości i uczynienia go niedostępnym, abdarzył go Allah obficie kolcami...

Była to — róża...

I zagrzmiął z niebios głos Allaha:

— „Oto macie królowę... młodą piękną i wspa-
niałą. Pamiętajcie, byście jej we wszystkim po-
słuszni byli...”

Wielka radość zapanowała wśród państwa kwiatów na widok pięknej królowej... nisko gięły one swe korony, bijąc kornie pokłony monarchini i rozsiewając przytem, jako kadzidła, wonie precudne dokoła... Ona zaś stała prosta, dumna, biała, niepokalana, przyjmując z godnością należne hołdy...

Na wieść o tem święcie i radości wśród kwiatów, zbiegły się i ptaszki, ich pobratymcy, by pieniami swemi głosić na wsze strony świata cześć i chwałę nowej monarchini...

Z grona ich wysunął się naprzód słowik, niepozorne ptasze, lecz zato najprzedniejszy śpiewak z całej skrzydlatej gromady...

Spojrzał na królowę i serce zabiliło mu żywszem tętnem... poczuł przypływ nieznanego mu dotąd uczucia, i z drobnego gardziołka posypała się kaskada przeciągłych trel. Drobną, szarą postać jego rosta, olbrzymiała, tony zaś kaskadą biegły, czarując wszystkich naokół...

I śpiewał tak długo, długo w głębokiej ciszy... Kwiaty pochylili korony, zasluchane w precudne pienia; ptaki przysiadły gromadą, by pieśni nie przerywać...

Skończył wreszcie wdzięczny śpiewak swoje uroczyste pienia, natchnione miłością głęboką i spojrzał na różę...

Ona zaś, ta niepokalana i dumna, z pogardą prawie patrząca na szarego, niepozornego śpiewaka, pod wpływem precudnych tonów jego pieśni, poczuła budzące się w sobie jakieś nieznanne uczucie, słodkie i pełne rozkoszy, przed którym wstrząsła się cała mimowoli... Spostrzegł to słowik, i pchnięty rosnącą coraz więcej miłością, szybko zbliżył się, by przycisnąć ukochaną do silnie bijącego serca...

Lecz cóżto, zaledwie objął ją skrzydełkiem, ciągnąc dalej słodki hymn miłości, gdy kolec, ukryty zdradziecko wśród liści, przebił mu serce i boski piewca, z ostatnimi tonami pieśni, z której już przebił ból i żalność niezmierna, legł martwy u stóp pięknego kwiatu...

Smutnie pochylili dumną koronę róża, a strumień krwi purpurowej słowika oblał jej niepokalanie białą i czystą koronę...

I odtąd róża, ta najwspanialsza królowa kwiatów, twór Allaha, pochodzący od łzy jego, stała się purpurową, jak krew...

Złote ziarna.

O bodaj to mieć młode, czyste jeszcze serce! To jak muszla z dalekiego morza. W niej każda rana perłą; w niem każdy niepokój ideałem — rzuć garść błota do takiego serca, po jednej marzeń godzinie będziesz miał błoto w dyament skryształone.

Madonna.

Z blaskami różowionych zórz
Prze bruzdy złotych idzie zbórz,
I łan Jej chyli się w sam pas,
I gędzi szumnych głosów las.

I ciszę z sinych zbiera bał,
I składa na serc ludzkich żal,
I niesie miodne leki z pól
Na łzy, tęsknotę i na ból.

I jasną swoją chyli skroń
Nad każdą pracującą dłoń,
By łżej wrzcionem było wić
Cieniuchną, długą życia nić.

Pacholąt główki kryje w cień
Pod płaszcz kwiatowych pełen tchnień,
Co do Jej drobnych spływa nóg
Falami złoto-włosych strug.

I lekkim poruszeniem rąk
Na strunach gra szumiących łąk
Pieśń smutnych, a milczących dusz,
Którym nie wolno śpiewać już.

A białych chat żegnając próg —
Rozświeca ścieżki błędnych dróg
Wygnańcom z rodzicielskich gniazd;
W owieji złotych płynąc gwiazd!

Winogrona jako lekarstwo.

Owoc winnego szczepu zajmuje w świecie roślinnym wybitne stanowisko; jest on jednym z owoców, które na ustrój działają nie tylko orzeźwiająco, ale i pożywnie mu dają, a nadto — w chorobach różnych — lekarstwo. Podobnie jak inne soki owocowe działa sok winogron preczyszczająco na ustrój ludzki, pomagając przyrodzie wydalac z ciała ludzkiego nagromadzone w niem szkodliwe ciała obce, powodujące właśnie choroby.

Obecna pora owocowa nadaje się u nas szczególnie do przeprowadzania kuracji winogronowych. Kuracje takie znane już były w starożytności; Celsus i Galenus wspominają winogrona jako środek leczniczy, a Hipokrates sok jagody winnej zalecał także zewnętrznie przy chorobach oczu. W naszym wieku rozpowszechniły się kuracje winogronowe dzięki popędowi, jaki dali lekarze szwajcarscy, a około roku pięćdziesiątego zaczęto urządzać w Tyrolu stacje do kuracji winogronowych (najsłynniejsza w Meranie.)

Do kuracji używać należy wielkich, słodkich jagód. Jagody takie zawierają dużo cukru gnonowego — cukier ten, jak wiadomo, potrzebnym jest do odżywiania ciała ludzkiego, że zaś jagoda winna zawiera go właśnie w stanie takim, że od razu z żołądka przechodzi w krew, jasnym jest, iż spożywając winogrona daje się osłabionemu ciału w sposób wygodny pożywnie. Inne węglowodany zamienia nasamprzód ślina ust na dekstrynę, a sok żołądka i kiszek dopiero na cukier gronowy.

Drugim ważnym składnikiem pożywnym winnej jagody jest wódnik potasowy (kali), przeciągający w czasie trawienia szkodliwe kwasy, n. p. moczowy, wydzielające się następnie z moczem. Nadmienimy jeszcze tylko pokrótce, że winogrona zawierają także

składniki, potrzebne do tworzenia kości i nerwów, tj. wapno i fosfor, dalej białko, kwas garbnikowy (w jądrach) itp.

Z krótkiego poglądu tego będzie zrozumiałem, że owoc, zawierający rozliczne części potrzebne do budowy ciała, do utrzymania krwi w właściwym stanie (kali) itd., znakomite może oddawać usługi w różnych chorobach, dopomagając energicznie przyrodzie. Mówimy wyraźnie, dopomagając, gdyż same winogrona oczywiście nie mogą przywrócić zdrowia, jeśli przytem człowiek nie zważa na zasady higieny, na dyetę i nie stosuje odpowiednich wobec choroby środków, jak kuracyi słonecznej, powietrznej i wodnej.

Zważać na to szczególnie trzeba z tego względu, że można i winogronami, podobnie jak czem innem, przeciążyć żołądek, a wtedy choremu częstokroć więcej zaszkodzić, niż dopomódz może kuracya. Nigdy, jak się czasem dzieje, nie powinien chory spożywać 6—10 funtów winogron dziennie; jest to bezwarunkowo na żołądek chorego człowieka za dużo. Pół do półtora funtu dziennie spożyte dadzą zwykłe ciało dostateczną ilość soku winnego. Jedynie nerwowym osobom można dawać czasem większe ilości, jeżeli przytem dostatecznie używają ruchu i wogóle uważają na to, by czynność żołądka jak najwięcej pobudzać.

W chorobach nerwowych właśnie daje jagoda winna znakomite usługi, bądź to, że pochodzą ze zbytniego podrażnienia nerwów pracą umysłową, cierpieniem ducha lub podobnie — bądź też z mechanicznych powodów, wskutek zbytniego siedzenia przy pracy itd., z czego wytwarzają się cierpienia żołądka i zaburzenia obiegu krwi, a dalej rozliczne cierpienia nerwowe.

Jasnem jest, że używając kuracyi winogronowej w chorobach takich, koniecznem jest, by w dyecie przestrzegać m. i. ściśle wstrzymywania się od potraw mięsnych.

To samo odnosi się do chorób żołądka i kiszek, wymagających również tylko diety roślinnej, która i w innych razach jest pożądana.

Kuracyę winogronową można stosować jeszcze z dobrym skutkiem w chorobach gardła i płuc, zapaleniach, nieżytach itp., przy cierpieniach serca, zaburzeniach obiegu krwi, a zatem przy krwawnicach (hemoroidach) itd., w chorobach nerek i pęcherza (kamienie nerkowe, nieżyty pęcherza, pochwy). przy zaburzeniach w odżywianiu (błednicy, tyłowitości, krzywicy czyli angielskiej chorobie, skrofulach, wyrzutach różnych), wreszcie w chorobach stawowych (gośccach i przewlekłych reumatyzmach).

Zaznaczyć należy w końcu, że spożywać można winogrona wraz z jądrami i łupinką, gdyż pod skórą właśnie znajduje się kwas garbnikowy, krępujący mięśnie żołądka i kiszek, a jąderka (pogryzione!) działają pobudzająco na ruch robaczkowy kiszek, będący uzupełnieniem trawienia żołądka.

Rozumie się, iż skutki wyżej wspomniane osiąga się tylko winogronami, a nie — jak by ktoś może przypuszczał, sztucznie wyrobionym alkoholycznym napojem, zwany winem.



Wesoły kącik.

Kuzyni.

Dama do młodego człowieka: — Często słyszę, jak pan, panie Janie, z panem Bolesławem nazywacie się kuzynkami. Jakież pokrewieństwo was łączy? Ja, proszę pani, nazywam się Kozłowski, a on — Baranowski.

Czy tak, czy tak...

— Wezmę wszystko, co mi pozostało i pojedę do Monaco... Jeżeli wygram, będę się mógł ożenić, jeżeli przegram, będę się musiał ożenić...

W sądzie.

— Panie sędzio — rzecze złodziej — nie jestem tak zły, jak okoliczność sądzić każe. Niech mi pan sędzia da tylko trochę czasu na skruchę. — Dobrze, odparł sędzia i dał mu pół roku więzienia.

Miedzy młodą parą.

— Wiem, że mnie twój ojciec z domu wyrzuci, bom poeta, jutro jednak wybiorę się prosić go o twoją rękę.

— O której godzinie przyjdiesz?

— Rano!

— Dlaczego rano, najdroższy?

— Bo wtedy rodzic twój ma na nogach — miękkie pantofle.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z nr. 33-go:

Eliza Orzeszkowa.

Trafne rozwiązanie nadesłali pp.: Drewniak z Dąbrowy Górnej, Józef Knopp z St. Zabrze, Jadwiga Badura z Rożdżenia, Ryszard Bodynek z Świętochłowic, Jan Szulc z Poznania, Andrzej Piecuch z Bruch, Paweł Słomiany z Nowej wsi, Jan Szyja z Cnropaczowie, Wiktor Gałonska z Gliwic, Walenty Przybyła z Zawodzia.

Nagroda przypadła p. Janowi Szyji w Chropaczowie.

Łamigłówka sylabowa.

Dy—dy—kaj—ga—go—ki—lo—na—czyk—in—
sław—sa—or—wła.

Z powyższych sylab ułożyć 5 wyrazów, których początkowe litery usworzą nazwę miasta na Wilją, a litery końcowe, czytane z dołu do góry dadzą nazwę miasta nad rzeką Dnieprem.

Znaczenie wyrazów:

1) Imię męskie, 2) Barwnik, 3) Sługa, 4) Miasto w Japonii, 5) część wozu.